ROZMAITOŚCI.

Dnia 26. Sierpnia   Nr 34.   Roku 1843.

DWIE GŁOWY.

PRZEZ

R. B . . . Y.

Jestem synem niemieckiego szlachcica. Z woli ojca miałem się oddać prawnictwu. Ta sucha, żmudna umiejętność budziła we mnie wstręt i odrazę; moja gorąca dusza usychała na jałowym stepie prawniczéj nauki; pragnąłem znaleźć pokarm dla mojéj gorączkowéj wyobraźności. Już od pierwszych lat moich zaciekałem się w krainę marzeń, tworzyłem sobie widziadła, fantasmagoryje; nie mógłem wbiédz w zakres powszedniego życia. To moje chorowite usposobienie było jeszcze bardziéj podsycane książkami. W domu ojca mieszkała ciotka, która namiętnie czytywała romanse. Ta widząc moje zamiłowanie w książkach, dała mi niewzbronny wstęp do swojéj biblijoteki, zapełnionéj dziełami najwyuzdańszéj w malignie fantazyi, która świat i ludzi w klęsłém źwierciedle potwornie okazywała. Po całych dniach i nocach pożérałem te zatrute książki; moję głowę zaległy rojowiska widziadeł, które mnie i we śnie dręczyły.

Będąc na uniwersytecie, odstręczałem mojém postępowaniem przyjacielskie serca od siebie, unikałem rozrywek młodzieży, zajęty jedynie mojémi ulubionémi autorami. W lecie, skoro się mógłem uwolnić od zatrudnień szkolnych, biegłem z niewymowną radością do ciemnego lasku, który się na około miasta rozciągał; tu żyłem w moim ideałów świecie; pochyłony nad książką, wywoływałem zaklęte w martwych czcionkach duchy. Kiedy najdziksze, szkaradą zeszpecone postacie z dzieł Hoffmana i Callota przeciągały po-przed źrenicą mojego ducha, ogniem biły tętna mojéj skroni.

Wolne miesiące od nauk przepędzałem zwykle w wiosce mojego ojca, mieszkałem w zamku, którego stara, dziwaczna budowa zajmowała moję uwagę; tajemnicze, pełne dziwów o tym gmachu powieści, lgnęły głęboko w moję duszę. W jednéj sali szczególniéj lubiłem oddawać się moim marzeniom. Byłato galeryja obrazów; familijne portrety wisiały na ścianach, wyłożonych dębowémi taflami; pomiędzy portretami wyziérały dzikie twarze z pióropuszami na głowie, i bajeczne potworne źwiérzęta.

Co moję najwięcéj zajęło uwagę, byłto obraz przedstawiający kobiétę w ubiorze wschodnim trzymającą w ręku wielki wachlarz, na którym walka Murzynów z rycerzami chrześcijańskiémi, odmalowaną była. Na téj kobiéty twarzy wylaną lubość i słodycz macił wyraz cierpienia i ognistych namiętności.

O tym obrazie biegała następująca gadka: Jeden z moich pra-ojców, pospieszywszy Hiszpanom z orężną pomocą naprzeciw Saracenom, wpadł był w niewolę, z któréj go kochanka, córka jakiegoś wschodniego książęcia wyratowała. Właśnie w téj chwili, kiedy wsparty szlachetną pomocą dziéwczyny, miał opuścić więzienie, nadchodzi ojciec wybawczyni jego. Wszczyna się walka, więzień bezbronny, już ma uledz przemocy, gdy wtém kochanka uzbraja ramię jego sztyletem, a ojciec pada trupem. Oboje uchodzą, lecz w rok potem, zmiéra dziéwczyna, kaléczona wyrzutami sumienia.

Po całych godzinach siedziałem przed tym obrazem, czytając odrywałem wzrok od książki i gubiłem się myślami w tém zajmującém malowidle. Nie mogę opisać, co się

we mnie działo. Czułem, że gdybym był spotkał osobę, podobną do téj kobiéty na płótnie, najgorętsza miłość byłaby zajęła duszę moją, takim urokiem owładnęły mnie te ciemne, mgłą tęsknicy i melancholii przysłonięte oczy! Lecz, ile razy mnie wieczór w téj sali zaskoczył, przestrach mnie ogarniał, drząc na całém ciele, uchodziłem z tego przybytku zgrozy; zdawało mi się, że ta kobiéca postać występuje z płótna i spieszy za mną!

Takie usposobienie, nie mogło sprzyjać naukom moim. Mało nabyłem wiadomości potrzebnych mi w moim zawodzie, jednakże po ukończeniu nauk, zostałem wkrótce przez stosunki rodzeństwa, radcą przy sądzie w mieście prowincyjonalném.

Piérwsza sprawa, w któréj na téj nowéj dla mnie drodze wystąpiłem, toczyła się o ukaranie morderstwa, które na jednym podróżnym popełniono. Niejaki mieszkaniec z poblizkiéj wsi, był o tę zbrodnię obwiniony. Zabrałem głos i wyłuszczyłem stan całéj sprawy; mówiłem bez zapału, nie biorąc w niéj udziału. Nastąpiło przesłuchanie świadków, poczém znowu głos zabrałem, ale mnie już inne całkiem niż przedtém zajęły uczucia! Im daléj ta sprawa się rozwijała, tém bardziéj wzrastała moja odraza przeciw oskarzonemu. Najwięcéj gorszyłem się obroną rzeczników oskarzonego, którzy świadkom przez zręczne i dobrze przemyślane pytania, sidła zastawić chcieli. Gdym niechętném uczuciem przeciw obwinionemu przejęty, zaczął rzecz prowadzić, głowa mi pałała, usta moje drżały, niezrozumiale płynęły mi słowa, lecz w ciągu mowy zaczęły się moje myśli rozwidniać, tłumaczyłem się jasno, wykładnie, czułem, że byłem wymowny. Całe zgromadzenie przysłuchiwało się z natężeniem, a gdym odwołaniem się do sprawiedliwości ojczyzny mowę moję zakończył, gdym jaskrawémi farbami szkaradę zbrodni morderstwa odmalował, tysiące okrzyków rozległo się w sali; przekonałem słuchaczy o zbrodni oskarzonego. — Zadowolony tryjumfem odniesionego zwycięztwa, powiodłem wzrokiem w koło, i spotkałem się z spojrzeniem winowajcy, który małe, przenikliwe ni świdry oczy swoje we mnie zatopiwszy, zdawał się mówić z pogardą i wyrzutem: »Dziękuję ci za twoję wymowę! Za cenę chwilowego tryjumfu, oddajesz głowę niewinnego pod topor katowski!« — Owładnięty uczuciem litości, padłem omdlały w krzesło. Moje uprzedzenie przeciw więźniowi znikało, biłem się myślami, a ten pomysł, że on może być niewinny, górował nad inne. W téj walce z samym sobą, słyszę naraz głos wyroku: »Jest winnym!« — Było to głos sędziów przysięgłych śmierć zapowiadający.

»Jam niewinny!« odrzekł oskarzony, gdy mu wyrok ogłoszono. »Umiéram śmiercią haniebną, krew moja spadnie na tego, który mnie swoim talentem oddał pod miecz katowski.« To mówiąc, wskroś mnie przejął jadowitém spojrzeniem swojém; krew się lodem we mnie ścięła, byłem blizki omdlenia, podano mi ramię, a w kilku minutach opuściłem sądową salę.

Wróciwszy do domu, zacząłem znowu troskliwie przeglądać papiéry w téj nadziei, że znajdę w nich niezbite dowody popełnionéj zbrodni, ale im więcéj śledziłem, tém bardziéj błąkałem się w niepewności, tém więcéj przekonywałem się o niewinności oskarzonego! Dwa dni po ogłoszeniu kary, trawiony wyrzutami sumienia, zajmowałem się tą pracą, ale nadaremnie, nie mógłem przed sobą usprawiedliwić wyroku.

Za dni dwa miał być wyrok spełnionym. Śmiertelną gnany trwogą, spieszę do sędziów, którzy się wykonaniem wyroku zająć mieli, i zaklinam ich, aby się strzymali, oznajmiam, że spieszę do stolicy, aby wyjednać zmianę wyroku, że ów skazaniec jest niewinny.

Nadaremnie były wszelkie przełożenia moje. Wyrok był już raz wydany, cofnąć-go nie było można; na domiar mego nieszczęścia, nowych się w okolicy dopuszczono mordów, przykład zatrważający był koniecznie potrzebny. Dziwiono się wprawdzie, dla czego ja, który w sądzie z takiém oburzeniem przeciw oskarzonemu powstałem, teraz się za nim tak gorliwie ujmuje, ale prośby moje żadnego nie odniosły skutku.

W wieczór przed dniem tracenia, zamówiłem konie pocztowe, aby nie być świadkiem téj krwawéj, trwogą me serce przerażającéj sceny. Nazajutrz w południe byłem

już o dziesięć mil oddalony od krwawéj widowni, byłem w miasteczku N. Tu jadąc przez obszérny plac w czworobok budynkami ujęty, natrafiam na masę ludzi, która mi dalszą drogę tamuje. Plac ów był tak ludźmi natłoczony, że nie można było ani wprzód ani w tył powozem ruszyć. Oglądam się i widzę na samym środku owego placu wzniesione rusztowanie i stojących w około krwawego pnia trzech ludzi w grubéj, czerwonéj odzieży, a w ręku jednego błyskało narzędzie śmierci. — Miało się odbyć tracenie.

Widok ten spędził mi wszystką krew do głowy. Z okiem ciągle w rusztowanie wlepioném, widzę dwóch kapłanów, a przy nich dwóch traceńców, w jednym z nich poznaję ofiarę mojéj wymowy, przed którego widokiem uciekałem.

Kat zasłabł w tém mieście, gdzie ja mieszkałem, a że w mieście N. także miało się odbyć tracenie, przeto przywieziono mego skazańca do tego odległego miejsca. O tém wcale nie wiedziałem.

Jak gdyby śmierć za mną goniła, wołam z całéj siły na woźnicę, aby w skok rozpuścił konie; konie szarpnęły, ale nadaremnie, bo masa ludu stanęła nieprzebytą zaporą.

W téjże chwili ukląkł jeden z straceńców, nie chciałem patrzyć, a jednak moje oczy splotły się z krwawą ofiarą; z najeżonémi włosy, z zapartym oddechem nie zdejmowałem oka z potępieńca śmierci; naraz błysnął miecz w słońcu, a kat podniósł z ziemi głowę buchającą krwi strumieniami, i ukazał ją zgromadzonym tłumom ludu. Okropny ten widok ściął we mnie wszystkie tętna życia, zdawało mi się, że ta odcięta głowa łypie na mnie na-pół otwartémi, wygasłémi skorupy; padłem bez zmysłów.

Gdym przyszedł do siebie, leżałem w domu zajezdnym. Gwałtowna gorączka wstrzęsła wszystkie moje nerwy i wylęgała najpotworniejsze widziadła. Szczególniéj miewałem noce okropne. Ta blada, krwią zlana głowa, odcięta od tułowu, wyzierała z każdego kąta mojéj sypialni: to zwieszała się nad moją głową, to się spuszczała na poduszki, ciskając z głębokich czeluści oczu, krwawe płomienie. Nawet i we dnie z każdego przedmiotu wyjawiały się rysy téj twarzy, która się za sprawą moją powlokła śmiertelną bladością! Wiele upłynęło czasu, nim przy gorliwszéj pomocy lékarskiéj zdołałem się cokolwiek opamiętać i przyjść do sił dawnych. Zawsze jednak pozostało mi jakieś ciężenie na mózgu, jakieś omdlenie na duchu, które moich przyjaciół niepokojem nabawiało. Lékarz radził mi używać wszelkich zabaw i rozrywek, jakoż posłuchałem jego rady i udałem się na podróż.

W przeciągu tego czasu nowa zaszła we mnie zmiana, którą moi przyjaciele za dobrą wróżbę mieli; pokochałem całą duszą pewną dziéwicę dobrego urodzenia dla jéj rzadkich przymiotów i byłem nawzajem kochany. Wszyscy mniemali, że nowe obowiązki, że radość i smutek, że wszystkie uczucia podzielane w kole rodzeństwa, w nowego mnie przeistoczą człowieka.

Otrzymawszy zezwolenie rodziców mojéj drogiéj Cecylii, i udarowany od mego ojca dość znacznym majątkiem, między innémi owym starożytnéj budowy zamkiem, w którym tyle przyjemnych chwil spędziłem, wszedłem w ślubne związki i wybrałem się na letnie mieszkanie do mojéj nowéj własności. Zwidzając naszą wiejską siedzibę, jakieś tajemne przeczucie odtrącało mię od drzwi wiodących do téj saméj galeryi, która niegdyś była moim ulubionym przebytkiem. Ale gdy moja Cecylija zbutwiałe drzwi spostrzegła, pragnęła oglądać, co one zamykały; nie mógłem się opiérać. Weszliśmy więc oboje.

Wszystko było jak dawniéj, zdawało mi się nawet, żem widział nad oknem tę samą pajęczynę i te dwa pająki, co dawniéj przed laty; powitałem te źwiérzątka, jako dawnych znajomych. Cecylija oglądała malowidła, nie mogła się nachwalić piękności téj sali, ciągle wypytywała mnie o nowe szczegóły obrazów, ja zaś byłem tak roztargniony, że sam nie wiém, jak na to odpowiadałem.

Stanęliśmy nareszcie przed portretem Saracenki. Tenże sam napół demoniczny wyraz w rysach twarzy, tenże sam słodki urok przemawiał z jéj ciemnych oczu, jak wtedy, gdym będąc jeszcze młodzieńcem, po całych dniach topił oczy w tém pięknem malowidle. Jakiś tym razem przestrach obleciał mnie dokoła. Słyszałem, że moja Cecylija

mówiła do mnie, pytając się o znaczenie tego obrazu, ale słowa konały na ustach moich, nie mógłem przemówić. Małżonka moja patrząc z zdziwieniem w moję twarz zmienioną, zawołała z obawą: »Cóż ci jest Rudolfie?«

Na te słowa wzdrygnąłem się, oderwałem wzrok mój dotąd ciągle w stare malowidło wpatrzony, ale co za szkaradna myśl zajęła mię w téjże chwili! Gdym spojrzał w kwitnące oblicze mojéj małżonki, zdało się mi, że to była twarz mojéj Cecylii, którą widziałem na płótnie! Te same rysy, te same oczy, toż zaokrąglenie lica, sam nawet wyraz oblicza mojéj małżonki zdawał mi się być tylko łagodniejszém odbiciem demonicznéj myśli Saracenki! Z obłąkaném okiem wyleciałem z sali, i znów w tę samą popadłem chorobę.

Najczarniejsze obrazy opasywały wieńcem moje łoże, krwią ociekła głowa mojéj ofiary zrastała się z kadłubem i panowała każdéj grupie najpotworniejszych marzydeł! Naraz widziałem, jak owa saraceńska księżniczka, czyli téż moja Cecylija — bo te dwa obrazy zawsze odtąd zléwały się w jeden — z białém jak marmor obliczem, brała w ręce krwawą, z wyszczérzonémi do piekielnego uśmiéchu zębami, w maszkarę przedzierzgnioną głowę, jak nią w tańcu w około mego łoża wywijała! Tętna w mojéj skroni biły jak młotem, gorączka paliła mnie jadowitym płomieniem! We dnie po tak gwałtownéin wysileniu, następowało zwykle omdlenie na wszystkich siłach. Kilka dni byłem w tym gorączkowym stanie. Jednego razu, aby ujść upiorom chorowitéj i rozdrażnionéj fantazyi, które mnie zwykle najokropniéj we śnie dręczyły, postanowiłem późno się położyć, aby twardym snem zasnąć.

Gdy moja małżonka już poszła na spoczynek a ja sam zostałem, uczułem jakąś niepojętą żądzę zwidzenia galeryi. Jakaś tajemnicza siła ciągnęła przemocą moje kroki, a chociaż mi włos jéżył się na głowie, chociaż pot zimny zléwał moje czoło, nie mógłem się oprzéć; pochwyciłem za światło i poszedłem chwiejącym krokiem.

Otwiéram podwoje, wszystkie płomienie uderzyły mi do głowy, gdy klucz ode drzwi warknął piskliwym zgrzytem. Słaby cień światła wiészał się po sali, czołgał po podłodze rznię-téj w rozmaite arabeski; ja śpiesznym krokiem z rozpaloną twarzą biegłem ku obrazowi Saracenki, ale jakby jakaś niewidzialna siłą wstecz targnięty, stanąłem jak wryty w niejakiéj oddali i zapuściłem wybiegle na wiérzch oczy w malowane płótno — lecz o zgrozo! Widzę smukłą kibić, śnieżne ręce okryte pierścieniami, bogate szaty, widzę wachlarz i malowidło, na niém wszystko widzę tak jak dawniéj, tylko nie widzę głowy portretu. — Zasłaniam ręką oczy, znowu je odkrywam i wpatruje się w malowidło. Znowu to samo widzenie! W tém miejscu, gdzie była głowa, widzę punkt czarny; naraz punkt ten zaczyna się rozszérzać, rozwidniać, w wyraźniejsze wyrabiać kształty; już się wybijają na wiérzch i światło i kolory i cienie, ale nie jest to oblicze kobiéce; coraz widoczniéj, coraz widoczniéj staje przed oczyma; — O Boże w niebiesiech!... krwią pluskająca głowa mojéj ofiary, któréj oczy latając jak żądło gadziny, ślą we mnie piorunne pociski zemsty! Światło wypada mi z ręki, z okropnym krzykiem padam martwy na ziemię.

Nie wiém, jak długo bez życia leżałem. Gdym się ocknął, ciemność była do koła, uczułem dreszcz przenikliwy, chociaż głowa moja ogniem pałała. Prawie machinalnie zwlókłem się z ziemi, i zaszedłem poomacku do mojéj sypialni.

Dwie świécé paliły się na stole. Upadłem bezsilnie w krzesło, wsparłem głowę na ręku i starałem się zebrać moje myśli; gdy oto słyszę po-za mną — szelest od strony łóżka. Oglądam się, widzę spuszczone obie poły kotary z czerwonego aksamitu, widzę, że się coś po-za niémi rusza; odsuwam światło, które me oczy raziło, zapuszczam wzrok w mały otwór u kotary i widzę... tę samą szkaradnie zeszpeconą głowę, która mię ciągle prześladowała!

W wściekłéj rozpaczy porywam za ciężki lichtarz i ciskam nim w okropne widmo. Jęk uderza moje uszy, przybliżam się do łoża i widzę — moję drogą Cecyliję we krwi, która z jéj skroni płynęła! — Moja małżonka bez życia!

Tu nastąpiła długa chwila bezprzytomności. Zapadłem w śmiertelną martwotę — a gdym odzyskał uczucie — znalazłem się w domu obłąkanych, gdzie to zdarzenie opisuję. Rzadko miéwam chwile jasne — oby się niebo nademną zlitować i moje męki ukrócić raczyło!

Lafitte i pamflecista.

Pamflecista, jestto plugawa, jadowita mucha. Ogrzana słońcem wolności, wylęga się — jak jajo orlicy na szczycie skały czystém powietrzem — tak ona w ściérwie, zgnilizną. Obrzydły owad ten podobnie harpijom w bajce, nic nie wyda z siebie prócz brudu i kału, z którego powstał i którym żyje.

Jeżeli się wmiésza w sprawo literacką, nie chodzi mu o rzecz, o prawdę, umiejętność, lecz osobę; z tąd idzie, że ją potwarza, kala, podejrzaną czyni, a mając otuchę, iż znajdzie wiarę u wielu podobnych sobie, wyprawia im w sposób

ulicznych przekupek, sceny bezwstydu rymem i proza.

Pamflecista należy do cechu paskwilantów, obaj mają złodziejską naturę, obaj nie śmią wywiesić znaku swego rzemiosła, obaj wychodzą na swój łup nocą.

Był czas, że w Londynie i Paryżu, gdy szło stronnictwu o poniżenie jakiego męża w oczach ludu, najmowano pióro takich paskwilantów, jak dawniéj we Włoszech sztylet bandytów; ale zawsze koniec wyświécał prawdę, zawsze zasługa odbiérała wieniec nagrody, a robactwo na słypie jéj poczciwości ucztujące, szło w śmiecie ohydy i zapomnienia.

Jeden z takich pokątnych pismaków, wielki łgarz i zagorzalec, w potwarzy nieprzebrany, mający więcéj dowcipu niż inni bracia z jego bandy, ufny w pryskające pióro swoje, wziął sobie za jakąś powinność, obrzucać kałem świetne imię Lafitta. Mniemał on, że tym sposobem zwróci na siebie publiczną uwagę, zjedna sobie głośne imię literata, pozyska oklask narodu, względy rządu a może jaką posadę. Z początku —jak to zwykle bywa—czytano ciekawie pismidła jego, śmiano się, a w końcu—okryto go powszechną pogardą; każdy go unikał i zamykał przed nim drzwi swoje.

Nie długo trwało, a już go nędza obsiadła, przyszło do tego, że nié miał czém żony i dzieci wyżywić; natrętny wierzyciel, nieodstępny od jego boku, zmuszał go do nieustannego pisania paskwilów, które miały do umorzenia długów posłużyć.

W tym kłopocie nie mogąc sobie dać rady, a chcąc acz na czas jaki ujść odwidzinom wierzyciela i nie słyszéć narzékań żony, zmyśla w rozpaczy przed niémi bajeczkę: że ma na banku u Lafitta 20,000 franków, i że témi, jak czas przyjdzie, w ostateczności sobie zaradzić może. Ale tém kłamstwem trafił z deszczu pod rynnę, bo żona i wierzyciel jak duchy trapiące, nie dając mu ani na chwilę spoczynku, nalégały na niego, aby przynajmniéj 6,000 frank. podniósł, i tą kwotą załatwił niezbędne potrzeby. Cóż miał biédak robić, chcąc nie chcąc wystawił asygnacyję na 6,000 franków na pana Lafitte i w tym przekazie wyraził, aby sobie tenże potrącił tę kwotę z sumy 20,000 franków.

Z tą asygnacyją żona i wierzyciel pospieszyli bez zwłoki do pana Lafitte, a pamflecista przeczuwając zły koniec, uszedł z domu, zostawiwszy wszystko losowi. Lafitte wziąwszy asygnacyję do ręki, zapytał po chwili namysłu: »Jestżeto własnoręczny podpis wydawcy téj asygnacyi?« Żona i wierzyciel zapewnili jak najuroczyściéj. Lafitte każe wołać kasyjera i wypłacić im 6,000 fr. Po kilku dniach wraca pamflecista z wielką nieśmiałością do domu, i zdziwia się mocno, widząc żonę i dzieci w nowe przybrane suknie. Żona opowiada mu z radością, że z podjętéj u Lafitta sumy, wypłaciła wierzycielowi 1500 fr., reszta zaś, 4500 frank. została nietknięta. Nieszczęśliwy pamflecista z bladém licem, nie mogąc przemówić ani słowa, spieszy do bankiera, opowiada mu swoję nędzę, oddaje mu z wdzięcznością i rozczuleniem 4500 fr. i przyrzeka resztującą kwotę 1500 fr. jak najrychléj wypłacić. —»Uspokój się wpan«, rzecze mu Lafitte, »nié mam zwyczaju odbiérać tak prędko, com komu pożyczył. Dajno mi wpan inny kwit; nie chcę bowiem być dłużnym wpanu 14,000 franków.« To rzekłszy: podyktował pamfleciście pokwitowanie odebranych 6000 franków: »*que je payerai quand je pourrai.*«

Miljonery w perspektywie.

(Dokończenie.)

I toż są ci Ichmoście, którzy po ulicach Warszawy puszczają kłęby dymu z Hawanny, którzy po spacerach wywijają laskami i drwiąc z przechodzących, depczą tych wszystkich, w których nie upatrują nic paryzkiego; którzy jak lwy afrykańskie, zwiesiwszy długie kudły na ramiona, najéżywszy kolczate brody, stają się postrachem kobiét, dzieci i pospólstwa.—Wyznać tu potrzeba, że broda, to piętno dziwactwa mody, wylęgłe w zagorzałych głowach gdzieś na przedmieściu *St. Germain,* jest trafnym podstępem, usiłuje bowiem wzbudzić upokorzenie i przestrach w tych wszystkich, od których dandy upomina się części — broda w dziewiętnastym pojmowana wieku, zostanie na zawsze najmniéj zgłębioném *factum* historyczném. — Jestto ostatnia chorągiewka, którą upadający w przepaść Milijoner, czyni niejakie *furore* z ustaloną sławą bogacza. Można miéć paltot rozpruty na łokciu, byleby w ręku trzymać pomarańczę; pantalijony można miéć tknięte nielitościwą plagą czasu, byleby ssać cukry i karmelki; w kapeluszu może wyraźnie być dziura, byleby idąc ulicą, wyśpiéwywał kawatinę z oper lub romanse, w końcu dosyć u fraka miéć trzy albo mniéj guzików, i bez podeszew obuwie, byleby tylko wiewało to *signum* ducha czasu, wierna wszystkich kolei towarzyszka, broda—dosyć o brodzie; w abstrakcyi myśli ma ona swoje *za* i *przeciw*: szpetnością jest jako toaleta, wygodą, bo nic nie kosztuje.

Nie sądźmy jednak porywczo, aby Milijoner w perspektywie, znudzony walką z przeciwnościami losu, przeszedł kiedy na stronę lewą mo-

ralności, zaco by mu w sądzie kryminalnym odczytano jaki paragraf kodeksu karnego; nie, są to dzieci czystości kryształu, którzy chętnie płaciliby długi, gdyby mniéj kosztowały salopy, szale, atłasowe trzewiczki, brosze i t. p. Złość jest daleką od ich serca: umieją przy grze faraona robić wyjątki z egipskiéj magii, przecież to jest częścią doświadczalnéj fizyki; — czasami za wczorajszą kontramarką usiłują wejść do krzeseł, lecz wyprowadzeni z błędu, wracają, mówiąc *pardon* z całą uprzejmością. — Zajechawszy dorożką przed Loursa, oddalają się tylnémi drzwiami: to roztargnienie — w resursie mylą się co do własności płaszcza albo kapelusza: to pośpiech — jedzą obiad w restauracyi mając w kieszeni piórko, poniterki, bilet wizytowy i kawałek krédy; zapomnieli pieniędzy, — nie winujmy ich przedwcześnie; umieją wyjść zręcznie nieposzlakowani z zarzutu, i każdy ufa im na to powszechnie: *Je donne ma parole!* — Kabrerę znają z kamizelek, tak jak o Hawannie wiedzą przez cygara, z Algierek wzięli wyobrażenie o Arabach, z mekintoszów o Anglii, o Laficie sądzą z wina, o Nelsonie ze zrazów. Słowem, są doskonali w sobie i na swojém miejscu, i wiadomości ich wystarczają na 24 godzin. — Lękają się najbardziéj kompromitacyi przez wzgląd na powagę brody, tak jak i sumienie Turka opiéra się na świętości brody Mahometa; (już więcéj nie będzie o brodzie).

Ale nié ma okropniejszego ciosu, jak kiedy podstawa na któréj Milijoner w perspektywie błyszczał jak jutrzenka, zaczyna chwiać się i zagrażać upadkiem. Wtedy wpada w ostateczność i dzieło prowadzi prawdziwie z zawiązanémi oczyma; z pensyi pozwala, dopuszcza *ciąć ćwiartkę*. — Resztę pozwala rozdrapać na ulicy, na schodach, na progu mieszkania tym wszystkim panom różnego wyznania, którzy francuzkiego *parole donnée* nie rozumieją wcale; — w końcu do żelaznéj woli komornika, przemawia głosem rezygnacyi: »Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie, a jednak został Rzym i Ateny, bierzcie........ — ja przetrwam prawo, kodeks i paragrafy!« — Tu antrakt przerywa rolę Milijonera — wyraz: Golec, jak jadowita strzała, przeszywa jego serce i wyżéra wnętrzności, dopóki akcyja nie przejdzie w katastrofę ostatniego aktu. — Milijoner wówczas stawia się w pozycyi bohatérów Kornela lub Rassyna, zbiéra wszystkie siły wymowy Bossuetta lub Massylijona i pisze list do zagniewanego ojca (w języku polskim) do ojca, który może w szaréj kapocie, przy prostym warsztacie swojego rzemiosła w maleńkiém miasteczku lub w wiosce, uprawiający kawałek ziemi, zaledwie na nędzne wyżywienie zarobić jest zdolny; do ojca, którego syn dwa lata wstydził się i wypiérał, pisze, żebrząc ze łzami o zasiłek: »Ja ojcze! (ojcu daje się znać, że się piste z pistoletem w ręku), będę pomocą twojéj starości, jeszcze chwilę, a czeka mnie urząd, znaczenie, bogata żona, ale pieniędzy, na Boga pieniędzy! — Oddaj co twoja oszczędność zachowała, powróć mnie światu, a dla kraju człowieka pełnego poprawy i obyczajów!« — Wyżebrał — raczéj wydarł — i ledwie wyszedł posłaniec pocztowy, który ostatnie 50 talarów starca, skropione jego łzą i potem, złożył w ręce skruszonego młodzieńca......... — krew zawrzała gwałtownie w żyłach, ozwał się na nowo duch wrodzonego zepsucia (dobrego tonu) — list pali już żelazko od papilotów, a nagle fenix z popiołów znajduje się w warsztacie krawca, gdzie przerzuca algierki, kortowe paltoty, aksamitne kamizelki, kupuje kapelusz *á la clac*, komuś perły i bransoletki, wieczorem jest na koncercie; — nazajutrz.......... mlimli na kredyt *repetito* bieli się w garnuszku, wpośród przekleństw młodzieńca na raki, szparagi, cliquot, szteinkelerki i zagraniczne śpiéwaczki. — Milijoner w perspektywie konał! — Konanie Milijonera w perspektywie, nie jest konaniem lwa zranionego postrzałem w oko, który na ślepo przebiegając puszczę, rozprasza przeraźliwe ryki. Milijoner wierzy jeszcze w *nieśmiertelność sławy*, i z taktem stoickiéj wytrwałości postanawia przekazać ją przyszłym wiekom: to się znaczy, że cichuteńko, nieznacznie jak kometa, wysuwa się po-za horyzont pięknego świata Warszawy — i nocą, z węzełkiem na plecach i cybuchem pod pachą, przeprowadza się na jednę z ulic dotykających Starego Miasta, gdzie w towarzystwie siedmiu, ośmiu, dziewięciu i więcéj kolegów (których także niesprawiedliwie los prześladuje) zajmować będzie mieszkanie *incognito*, któremu najczęściéj piętra naznaczyć niepodobna. Tu jeszcze myślą przebiega wszystkie kombinacyje ocalenia, przyczépia się do bogatéj, razem pełnéj miłosierdzia kobiéty, która zwykle jeźli nie na babkę, na matkę jego wygląda, i za nędzne utrzymanie życia, usiłuje ją przekonywać w podwójnych, potrójnych aż do dziesięciu argumentach o fałszywości jéj metryki — taka jest najczęściéj ostatnia gałązka, na któréj świetna gwiazda milijonera zaczépia się i gaśnie, zrobiwszy poprzednio z bohatéra szkielet bez sił, zdrowia i energii. — Dosyć lat trzech, aby przebiédz całą grę podobnéj roli na teatrze pięknego świata.

Szczęściem, że milijonerzy w perspektywie, miewają nosy z niesłychanie subtelnym węchem; to jest: umieją zwietrzyć panienki, czerpające wdzięki z kasy Towarzystwa Kredytowego.

Postrzelony milijoner kocha się nagle do szaleństwa: to jest przegląda hypotekę, wypytuje się o ilość gruntu, mierzy las, wodę, liczy zabudowania, i przyciskając w uniesieniu do serca cel swoich zapałów, wpuszcza bogini do ucha to lakoniczne: czy będzie trochę gotówki.—Przesilenie miłości następuje, kiedy ożeniony postrzeże, że łańcuszek małżeński trzyma liczba przemagająca, to jest żona, papa żony, mama, ciocia, jedna ciocia, druga, trzecia, stryjaszek, wujaszek, babka i t. d..., który zaledwie raz do roku zerwać się pozwoli (na Ŝty Jan). Wówczas panicz z ogromnemi wańtuchami zjawia się na Krasińskich placu pod tytułem: *Milijoner szlachcic.* Jestto edycyja nowa poprawna i powiększona Milijonera z Warszawy.—Milijoner szlachcic, jestto indywiduum tak imponujące na oko, iż Milijonerzy z krakowskiego przedmieścia, senatorskiéj, miodowéj i innych ulic, wyglądają przy nim jak muchy poziome przy cedrach Libanu. Milijoner szlachcic miewa zwykle twarz Mulata, wąs w stanie natury, lorynetki nie nosi wcale i nie kupuje żółtych rękawiczek; za to lubi się pokazać, to się znaczy: »Będziecie co jedli albo pili, ja zapłacę«, dla tego milijonerzy w rejtfraczkach i z kamaszkami trop w trop łażą za niemi, ściskają z całéj siły ogromne poły gubernijalnego ich surduta, oczekując decydującego, »prowadźcie mnie, bo wy znacie wszystkie kąty Warszawy.«— Tak zaledwie piękne runa zamienią na srebro, już połowę plonu stawiają na zielonym stoliku, na żer zgłodniałym sępom warszawskim;— daléj, część skrępowaną drutami od korków szampańskich, topią w hutniczych piecach restauratów francuzkich;— część wsuwają pod garnirowane poduszki w własnych i niewłasnych domach; a z cząstką uratowaną od warszawskiej paszczy wracają, (czyniąc mil pięć na godzinę), gdzie ich czeka prozaiczny gar z kartoflami, rynka z okrasą, klasyczna kiełbasa na kołku, jaja, śmiétana i parlamentarne języki *à la* Thiers albo Guizot. — Nie jedento może, który ów tryb gospodarowania wiejskiego zmienił w coroczne *perpetuum mobile*, pomyśli w duszy: »na dnie każdego wańtucha cięży przeklęctwo mojéj żony, ale w Warszawie jestem Milijonerem!«— Powtórzmy im wszystkim to stare ale dobre przysłowie: *Nie wszystko złoto co się z wierzchu świeci.* J. S. B.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 34. i obejmuje: 1) O rolnictwie i jego kombinacyjach, na rachubie opartych, przez Kazimierza hr. Krasickiego. (Ciąg dalszy). 2) Krótkie uwagi nad rozprawą: O oczynszowaniu włościan, umieszczoną w 32gim i 33cim numerze warszawskiego Korespondenta handlowego, przemysłowego i rolniczego z r. b. 3) O kulawce owiec i sposobie jéj léczenia. 4) Zupełnie nowy sposób przechowywania jabłek. 5) Wiadomości czasowe.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* numera 19, 20, 21 i 22 zawierają następujące artykuły: 1) Rzut oka na miasta w Polszcze, przez Andr. Moraczewskiego. 2) Akt pierwszy z dramatu Sylwijusza Pellico: *Francesca da Rimini*, przekład Julijana Bartoszewicza. 3) Biblijografija: Ostafi tłumaczenia Jabłonowskiego, przez Skimborowicza. 4) Wiadomości z obcych piśmiennictw. 5) Nowiny. 6) Uwagi nad stanem włościan i produkcyi krajowej. 7) O Józefie Aleksandrze Jabłonowskim, rzecz krótka, przez Skimborowicza. 8) Myślę, więc jestem; tworzę, więc jestem. 9) Kronika piśmiennicza polska: *Radegast*, pismo poświęcone na wsparcie teatru polskiego w Wilnie. 10) *Rimembranza*, pismo zbiorowe wileńskie, przez J. Krzeczkowskiego wydane. 11) Myśl, słowo i czyn, rzecz filozoficzna o urzeczywiszczaniu się ducha, przez Karola Libelta (nadesłane z Poznania). 12) Urządzenie tymczasowe włościan polskich, czyli ich oczynszowanie. 13) Przyjacielskie koło, wyjątek z rękopisów: *Powiastki z domowéj strzechy*, przez Kaź. Wład. Wójcickiego. 14) Korespondencyja z Berlina. 15) Zapał, poezyja. 16) Obraz porównawczy Pauperyzmu. 17) Rozprawa językowa: Czy mamy *T* miękkie w mowie polskiéj, przez doktora Tomickiego. 18) Kronika piśmiennicza polska. 19) Niezabudka. 20) Rocznik literacki. 21) Jaskółka, pamiętnik, wydany w Warszawie, przez Romualda Zamorskiego i Dziekońskiego. 22) Brewijarz świecki Brunona Kicińskiego, podług Leopolda Szefera.

Redaktorowie *Przeglądu naukowego* Dembowski i Skimborowicz, powodowani tą myślą, że godna jest uwagi, jak język nasz naprzód w uściech ludu, potém różnych ludzi innemu podlegających położeniu, zatrudnieniom, zabawom i tam daléj, przybiera inne barwy, inny koloryt, jak nań wpływają znamiona szczególne, mianowicie prowincyjonalizmy, przedsięwzięli wydawać: *Słownik polski*, wyrazów gminnych, prowincyjalizmów, przysłowiów i wzywają wszystkich o dostarczanie zbiorów ku temu celowi służących.

Józef Łukaszewicz, historyk, powiada w *Obrazie historyczno-statystycznym Poznaniu*, że w XVI. wieku na pałacu Górków, dach miedziany obejmował sadzawkę napełnioną rybami.

Największe zwierzę na świecie. Już wiele mamy dotychczas szkieletów źwiérząt przed-potopowych, które wielkością swoją podziwienie wzbudzały. Ale największym niezawodnie będzie ów kościotrup, odkryty przez niemieckiego badacza natury Kocha, w blizkości Missouri. Największy słoń może przejść po-pod olbrzymim szkieletem tego źwiérzęcia, które ma 15 stóp wysokości, a 13 długości. Głowa sama ma 6 stóp, a dwa przednie zęby 10 stóp długości. Przestrach przejmuje na widok tego olbrzymiego potworu, z któregoby można dość duży dom lub małą świątynię wybudować. Nazwano go Missurium, od miejsca, gdzie to odkrycie zrobiono. Teraz znajduje się w gabinecie londyńskiém.

Pawlonia imperialis, okazałe drzewo, w całém tego słowa znaczeniu, przywiezione z Japonii do botanicznego ogrodu w Paryżu, jest ciekawem zjawiskiem dla botaników i ogrodników. Przeszłéj wiosny zakwitła po raz pierwszy w téj nowéj dla siebie ojczyźnie i okryła się bardzo licznym, dużym i woniejącym kwiatem. Liść ma na 18 cali długi, a 15 szeroki. Drzewo to z wielkim, niebieskawo-lilijowym kwiatem, przedstawia spaniały widok. Do szczególniejszych zalet należy i to, że na wolném powietrzu zimę przetrwać może.

Jaskółka mająca 120 lat. *Courier français* umieścił trochę niepodobną do prawdy wiadomość, że pewien Paryżanin złapał na Quai-Conti, w gnieździe pod rynwą dachu jaskółkę, która miała na szyi łańcuszek śrebrny z śrebrną blaszeczką z napisem: Rok 1724. Jaskółka ta miałaby więc teraz 120 lat, nie zdaje się to niepodobnem, gdy jak wiadomo, kruki, papugi i jaskółki późnej dosięgają starości. Akademija umiejętności ma tę rzecz sprawdzić.

Że moda wszystkiem włada, nawet umnictwem, mamy dowód w tem, iż malowanie pastelowe, oddawna zaniedbane, naraz staje się ulubionem tak w Anglii, jak we Francyi. Damy w Paryżu każą od

niejakiego czasu wdzięki swoje w sposób pastelowy malować. Nowe obrazy pastelowe mają w tém pierwszeństwo przed dawniejszémi, że im umieją nadać trwałość, jak malowidłom olejnym. W Londynie były dwie wystawy obrazów, w tymże samym czasie z samych malowideł pastelowych, wszystkie rozkupiono. I w Niemczech zaczyna wchodzić w modę ten sposób malowania.

Kara Georgiewicz. Francuzi chcą w nim widzieć ziomka. Gazeta wychodząca w Nantes twierdzi, że ojciec jego, Czerny Georg, oswobodziciel Serbii, urodził się w Nancy w parafii świętego Sebastyjana w roku 1786, że więc Serbija nie jest Georgiewiczów rodzinną ziemią.

Akademija uczonych kobiét. Bogaty i światły hrabia Castellane, którego dom jest ogniskiem wszystkich znakomitych uczonością i naukami osób w Paryżu, ma zamiar założyć akademiję kobiét uczonych, która ma odpowiadać zupełnie akademii francuzkiéj. Akademija ta trudnić się będzie rozwiązywaniem kwestyj literackich, ma spominać o zasługach nowych pism wychodzących, i wydawać dziennik, który zajmować będzie sprawozdania z posiedzeń akademicznych i wypadki czasowe. Minister publicznego oświecenia już poczynił potrzebne kroki, aby wyjednać potwierdzenie tejże akademii.

Cancan, jestto najosobliwszy taniec karnawałowy, którego salą balową jest ogromny Paryż. Całe ciało tancerza jest w ruchu, ręce, nogi, ramiona: to się kołysze całém ciałem, to przytupuje nogami, to opuszcza bezwładnie ramiona, to wstrząsa i kiwa głową. Najgłówniejszą zasadą tańca, są rozmaite pocieszne ruchy, giesta, które się co chwila odmieniają. Tańcujący klaszcze w ręce, składa je na piersiach, robi niémi jakby płynął na wodzie, rzuca i cofa się to w tę to w owę stronę, dotyka ręką kapelusza, pada na kolana, lub rozpościéra ręce nad tańcującą damą, jak gdyby jéj w milczeniu dawał błogosławieństwo. Wszystkie te poruszenia robi z nadzwyczajną powagą, tak, że przypatrujący się temu cudzoziemiec, nie może pojąć, co to wszystko znaczy.

Kazanie nie od rzeczy. Kaznodzieja Arndt, miał w Berlinie w dzień postu żarliwe kazanie, w którym ostro chłostał obecnego ducha czasu, a szczególniéj bałwochwalstwo, jakiém artystów i sztukę obecnie otaczają. Między innémi mówił te słowa: »Trzecim bałwanem, któremu świat hołduje, jest uciecha, rozrywka; ten bałwan stoi jeszcze wyżéj nad złoto i honor. Aby się ucieszyć, zabawić, żadnych nie szczędzimy wydatków, nié masz żadnej czynności, któraby była niegodną. Pracujemy tylko, aby się wzbogacać, wzbogacamy się jedynie dla tego, aby zająć w społeczeństwie stanowisko, o to zaś dobijamy się tylko w tym zamiarze, aby używać świata, lecz co mówię, wszakże żądza użycia świata nawet te zajęła umysły, które jeszcze w świecie nic nie znaczą, które nic nie zapracowały. Przeto chętnie witamy każdego, który nam podaje sposobność zaspokoić tę trawiącą gorączkę za uciechami, czy to takowych nastręczają nam ułożone, utresowane zwierzęta czy ludzie, byle tylko coś widzieć i słyszeć, czego dotąd nie widziano i nie słyszano. Tłumem napływają na takie widowiska, choćby cena wstępu na nie była nad miarę możności, to wolą raczéj robić długi z krzywdą swoich dzieci i krewnych, wolą cierpieć głód i niedostatek, niż się zrzec przyjemności, którą się będą zachwycać wieczorem na teatrze, w cyrku, w arenie. Gmin tak wielkiego jak małego swiata niczém nie da się odstręczyć od podobnych widowisk. Jeżeli trzeba czekać godzinami, czeka cierpliwie, jeżeli trzeba duszącem zepsutém oddychać powietrzem, chętnie poświęca swoje płuca, jeżeli trzeba życie swoje i zdrowie narażać na niebezpieczeństwo, bez namysłu stawia życie i zdrowie, gmin ten daje się ochoczo trącać, tłoczyć, nogami deptać, dozwala w tłumie suknie swoje odziérać, miąć i plamić, a to wszystko dla — chwilowéj rozrywki, dla zmysłowéj, przemijającej uciechy. Tych samych ludzi, których zawsześ trzeźwych i rozsądnych widział, napada jakiś szał, rozgrzani uniesieniem wrzeszczą, biją rękami i nogami tak dalece, że zdaje się, że rozum postradali. Niechże się kto odważy przyganić ich tak zwanéj rozkoszy artystowskiéj, a nié masz obelgi, któraby tak zwany świat oświecony nie cisnął na niego w gorączkowém uniesieniu swojém. To bałwochwalstwo sztuki tak się dalece zakorzeniło, że żaden nauczyciel, który walcząc z niedostatkiem oddaje się od roku do roku temu ciężkiemu i pełnemu zasługi zawodowi, że żaden urzędnik, który od świtu do zmierzchu w pocie czoła najcięższą podejmuje pracę, że żaden, który dla ojczyzny został kaleką, nié ma takiéj płacy, że nawet żaden zbawca ludu nie bywa tak wielbionym, pochwałami okrytym, jak niejeden z lekkich artystow lub artystek, ktorzy chwilową rozrywką zmysły odurzają. O, gdyby Paweł św. przeszedł się po naszém mieście, jak niegdyś po Atenach, rzekłby z żalem do nas te same słowa: »O mieszkańcy Berlina, wszędzie widzę u was wiele zabobonności i pogaństwa!«

Jak dawniéj czczono poetów. Sławny pisarz trajedyi Corneille, przybywszy jednego razu po dwóch latach niebytności swojéj do Paryża, wszedł do sali teatralnej: *Comédie française*. Widowisko już się było zaczęło. Skoro postrzeżono Corneilla, umilkli aktorowie, książę, wielki Condé, i wszyscy obecni widowisku, powstają z krzeseł, wszystkie loże idą za ich przykładem, a parter okrywa go rzęsistémi oklaskami. Po każdym akcie powtarzała się ta sama scena.

Przyczyna snu spokojnego. Pewnego Irlandczyka przywołano w Glasgowie przed sąd jako świadka. Szło o jakąś nocną awanturę. Gdy się go prezydent zapytał: czy nic wie o tem wypadku? tenże odrzekł: »Nic nie słyszałem, gdyż od czasu, jak zostałem wdowcem, mam zwykle sen bardzo twardy.«

Bruk smołowcowy w Paryżu, tak zmiękł był ostatniemi czasy od słońca, że przechodzący Paryżanie głębokie w nim zostawiali ślady. Pewna elegantka w trzewiczkach atlasowych, przechodząc chodnikiem po bulwarze włoskim tuż po-przed kawiarnię, tak mocno do smołowcu przylepła, że aż dandy wymuskany musiał jéj zbiedz ku pomocy i na pół-omdlałą bez trzewiczków unieść do powozu.

Dwuznaczne doniesienie. Gazeta londyńska *Globe*, która się ciągle uskarża na zaniedbane wychowanie anglikańskich pastorów, przytacza następujące obwieszczenie, które na kościelnych podwojach anglikańskiego zboru niedaleko Hertford przybito: »Podaje się do wiadomości, że ci tylko, którzy w téj parafii żyją, mogą być na przybocznym smętarzu pogrzebani, ci zaś, ktorzyby sobie *tego życzyli* nie należąc do niniejszéj parafii, raczą się *wcześnie* zgłosić do pisarza plebanii.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.